

Antropologia pozytywizmu czy jego czarna legenda.

Henryk Markiewicz

Roztrząsania i rozbiory

Antropologia pozytywizmu czy jego czarna legenda?

Dzieło Mariana Płacheckiego *Wojny domowe. Szkice z antropologii słowa publicznego w dobie zaborów (1800-1880)*¹ może zaimponować: objętość – ponad 500 stron, prestiżowe wydawnictwo, obfita bibliografia, mnóstwo cytatów i szczegółów, a przede wszystkim propozycja uprawiania nowej dyscypliny – antropologii słowa publicznego. W toku lektury dołącza się do tego uznanie dla niektórych udatnych interpretacji (na przykład wiersza Norwida *Nerwy*, dekadentyzmu południa wieku, sceny końcowej *Marty*). Zarazem jednak narastają daleko idące zastrzeżenia i sprzeciwy. O nich będzie mowa w tym artykule.

Zacznę od sprawy drugorzędnej – od stylu pisarstwa Płacheckiego. Nie wiem jak koleżanki i koledzy po fachu, ale ja czytam książkę naukową trapiiony myślą o zaległościach lekturowych, toteż chciałbym, żeby napisana była zwięźle i jasno. Tymczasem Płachecki przeładowuje swą narrację szczegółami, czasem zupełnie zbędnymi, a kompozycję rozwichrza dygresjami, które utrudniają śledzenie toku myślowego; nie umie też się powstrzymać przed nadmiarem swej, nie zawsze zręcznej, grandilokwencji. Przy tym pseudonimuje sprawy oczywiste zbędnymi innowacjami terminologicznymi, jak na przykład „powstrzymywanie abrazji” (abrazja to erozja linii brzegowej wskutek działania na wybrzeże fal i przyplływów; metaforycznie – „destrukcyjna dla polskości strategia władz zaborczych”), minuityzacja (ograniczenie i degradacja uczestnictwa w kulturze), „etnografia warszawskich ulic” („anonimowe normy dyktujące sposób postępowania wobec siebie ludzi obcych na ulicach miasta”), „uniwersalizacja widoczności społecznej oraz rozwinięte formy ostracyzmu ulicznego” (uniwersalizacja ma tu oznaczać wzmożoną uwa-

¹ M. Płachecki *Wojny domowe. Szkice z antropologii słowa publicznego w dobie zaborów (1800-1880)*, Wyd. IFiS PAN, Warszawa 2009.

Roztrząsania i rozbiory

gę na to, co dzieje się na ulicy, ostracyzm – przywoływanie do porządku osób nieszanujących żałoby narodowej). „Prawem martwej ręki” Płachecki arbitralnie nazywa „wprowadzanie norm prawnych, bez znoszenia poprzednich regulacji w danej dziedzinie” (s. 137); bez komentarza autora nikt by się tego nie domyślił.

Z drugiej strony Płachecki lubuje się w dosadnych wyrażeniach metaforycznych, nie zawsze stosując je poprawnie i popadając w katachrezy, na przykład „smarkateria zapierająca dech w piersi” (s. 321), „stygnąca magma letargu” (s. 327), „wersja obrona z tromtadracji do białej kości” (s. 331), „osoby ufortyfikowane po zęby” (s. 422), „optymizm zaciśniętej ręki” (s. 487), „przegrzanie świadomości społecznej” (co znaczy, że „ktokolwiek wychynął z anonimowości trafiał od razu na widelec”, s. 460), „tak gwizdże «piszczel trwożąca» w ustach bezimiennego Kraszewskiego” (s. 487), „szarpała nim centryfuga opinii” (s. 492), „Radca Stanu nie wypadł sroce spod ogona wprost na lipskie leże” (s. 378), „wynarodowieniu młodzieży zarażonej socjalizmem rosyjskim stanął okoniem Sienkiewicz swą *Tylogią*” (s. 493), troska o zachowanie tradycji jest, według Świętochowskiego, „oznaką płątania się pieluch między nogami młodego człowieka niezdolnego do samodzielnego utrzymania higieny osobistej” (s. 338).

Ale istotniejsze od tych wykolejeń stylistycznych są merytoryczne tezy Płacheckiego i stosowane przez niego sposoby argumentacji. Książka nosi podtytuł *Szkice z antropologii słowa publicznego w dobie zaborów (1880-1880)*. W przedmowie autor wyjaśnia, że chodzi mu o antropologię skupioną na historycznych funkcjach tekstów wymienianych w obiegu publicznym (s. 12), gdzie indziej pisze o „historycznej socjologii komunikacji” (s. 128). Autor jednak poza tę dziedzinę wykracza – ponadstronicowy rozdział *Pieczęć Rządu Narodowego* to studium z „etnografii codzienności stanu wojennego w Królestwie Polskim 1861-1864” (s. 21) lub inaczej mówiąc – „o socjologii historycznej tego stanu” (s. 79; zacytowane tu autodefinicje dobrze egzemplifikują płynność nazewnictwa w nowych naukach humanistycznych). Tę część pracy, z braku kompetencji, pominię (zauważę tylko, że „terror patriotyczny” występuje tu w świetle tak ponurym, jak chyba nigdzie w dotychczasowym piśmiennictwie o powstaniach). Uwagi swe ograniczę do trzonu książki, traktującego o pracy organicznej i pozytywizmie warszawskim, a więc o problemach, które były i są przedmiotem badań historyków literatury, także i moich. Stosunek Płacheckiego do tego dorobku jest ambiwalentny. Pisze, że zasługuje on bez wątpienia na kontynuację, ale w następnym zdaniu oświadcza, że w jego oczach paradygmat ten „dawno się już wypalił, a obecnie dożywa swych dni” (s. 13).

Jakże przedstawia się ów przebrzmiały paradygmat w oczach Płacheckiego? Jest to „rezultat skrzyżowania historii idei (dokładniej: recepcji filozofii pozytywizmu zachodniego) z literacką genologią, skupioną na opozycji powieści tendencyjnej i realistycznej oraz tradycyjnie rozumianej biografistyki” (s. 12)². Trudno

² O owej genologii jest zresztą Płachecki niewysokiego mniemania, skoro twierdzi, że na przykład o powieści realistycznej „trzeba by długo jeszcze dyskutować, by nabrać poczucia, że wie się, o czym się mówi” (s. 410). Jeśli Płachecki zechce kiedyś

Markiewicz Antropologia pozytywizmu czy jego czarna legenda?

przystać na taką charakterystykę: lepsze czy gorsze prace historycznoliterackie o tym okresie omawiały przecież tematykę i problematykę polityczno-społeczną i moralną, a z biegiem czasu w coraz większym zakresie – metafizyczną i religijną w literaturze i publicystyce. Intensywnie badano też estetykę i krytykę literacką.

Podobnie rzecz się ma ze stwierdzeniem, iż perspektywa filologiczna i perspektywa historii idei „nie tolerują wyrażenia osobowości twórczej, rozpisanej na katalog postaw, z których jedna zaprzecza drugiej” (s. 447). Przecież jeszcze przed wojną pisano o antynomiach Dygasińskiego (Franciszek Bielak, Zygmunt Szweykowski), potem – o sprzecznościach między indywidualizmem a demokratyzmem Świętochowskiego, między tradycjonalizmem a dekadentyzmem Sienkiewicza, ideologią a realizmem Prusa itd.

Twierdzi dalej Płachecki, że tradycyjne ujęcie pozytywizmu warszawskiego jest „historią wewnętrzną, sprowadzoną do abstrakcyjnych dziejów myśli, całkowicie zapoznającą historyczną i społeczną, publiczną i podmiotową sytuację przekazu prasowego i literackiego” (s. 13). A przecież pracom o pozytywizmie zarzucano kiedyś właśnie „przetlenie”, jak to mawiał Kazimierz Wyka – nadmierną rozbudowę gospodarczego, społecznego i politycznego tła zjawisk literackich.

Zarzut inny: Płachecki twierdzi, że studia z historii kultury XIX wieku, z czasów PRL, nawet pisane z najczystszej intencji, obciążone są swoistą „paralaksą poznawczą”, która sprawia, że dzieje tej kultury traktowane są z perspektywy przejętej „od pruskiego czy austriackiego legalisty, choćby nawet przychylnego Polakom” i dzisiaj na ogół „okazują się przekłamane” (s. 189-190). Ciężki to zarzut i trudny do odparcia, bo o każdej pracy można powiedzieć, że nie dość wnikliwie i dobitnie opisała ucisk zaborczy. Płachecki przytacza na dowód swej tezy jeden przykład, z racji chronologicznej niefortunny: *Dzieje inteligencji polskiej* z roku 2009...

Dołącza Płachecki jeszcze inny argument *ad homines*, dotyczący badaczy pozytywizmu należących do „pokolenia 1944”: „sprawdzać czystość intencji Adama Wiślickiego czy Aleksandra Świętochowskiego z przełomu lat 60. i 70. XIX wieku znaczyłoby podważać ją także w odniesieniu do własnej młodości” (s. 45). Jeśli

wyjawić, jak należy o tej powieści mówić, prosiłbym, by nie przypisywał mi poglądu, że personalny typ narracji doszedł do głosu dopiero w impresjonistycznej powieści młodopolskiej (s. 441). W *Pozytywizmie* (PWN, Warszawa 1978, s. 107) pisałem przecież wyraźnie, że tendencją rozwojową powieści realistycznej jest zastosowanie mowy pozornie zależnej, ukazującej rzeczywistość z indywidualnej perspektywy jednego lub kilku bohaterów, nazywając *expressis verbis* tę technikę narracją personalną. Powtórzyłem tę obserwację w omówieniu *Lalki* (tamże, s. 147). Sam Płachecki dopatruje się „brawurowego ćwiczenia z narracji personalnej” w pewnym fragmencie *Marty Orzeszkowej* (s. 429). Tymczasem jest to próba nieśmiała i niekonsekwentna. Magazyn mód został tu pokazany tak, jak go widzi anonimowe „nieumiejętne oko”, nie Marta. Poza tym pojawiają się szczegóły, których, jak Płachecki sam przyznaje, „Marta nie mogła widzieć dokładnie”, ucieka się więc do bezzasadnego przypuszczenia, że szczegóły te Marta sobie wyobraża.

Roztrząsania i rozbiory

dobrze rozumiem to koślawe zdanie („sprawdzanie” może równie dobrze prowadzić do zanegowania, jak i do potwierdzenia), autorowi zapewne chodzi o to, że własna przystosowawcza czy oportunistyczna taktyka tego pokolenia wobec PRL-owskiego reżimu nie pozwalała mu dostrzec nieczystości intencji pozytywistów. Sprawa ta jest bardziej skomplikowana: marksistowskie założenia owych młodych badaczy prowadziły ich, po początkowej gloryfikacji, do rychłego hiperkrytycyzmu wobec pozytywizmu, traktowanego jako ideologia sojuszu burżuazyjno-obszarniczego, antyrewolucyjna i ugodowa wobec caratu. Poglądy Płacheckiego są – o ironio! – do tego hiperkrytycyzmu bardzo podobne.

Przejdźmy jednak do metod badawczych Płacheckiego i ich rezultatów. W stosunku do tekstów literackich jest to często hermeneutyka kreatywna, by nie rzec – konfabulacyjna. Cała konstrukcja fabularna *Marty Orzeszkowej* pokazuje, że bohaterka nie może znaleźć czy utrzymać pracy albo dlatego, że nie ma profesjonalnego przygotowania, albo dlatego, że istnieje niechęć do zatrudniania kobiet w niektórych zawodach. Płachecki temu nie przeczy, ale twierdzi, że jeśli „potraktować rzecz poważnie”, zobaczymy w tej powieści „nie tylko i nie głównie zbeletryzowany głos w debacie feministycznej, lecz krytyczną diagnozę sytuacji na rynku pracy, w którym dla kobiet miejsca brak” (s. 441-442) – i tu następuje dwustronicowy wykład o ówczesnej dramatycznej sytuacji ekonomicznej, o ogromnej liczbie żebraków w Warszawie, o przetrzebieniu populacji rzemieślniczej w rezultacie powstania i o późniejszym napływie do niej wychodźców z dworu szlacheckiego. Wszystko to prawda, ale są to informacje dopisane do powieści, w której nie ma ani słowa o tym, że w ogóle pracę znaleźć trudno, nawet wtedy, gdy się jest fachowcem i mężczyzną. Co więcej, Płachecki ma pretensję, że w powojennych opracowaniach powieści „próżno szukać choćby aluzyjnej wzmianki o tym, iż trudności w otrzymaniu pracy, na jakie natrafia Marta, mogą w jakimkolwiek stopniu wiązać się z politycznymi i gospodarczymi następstwami powstania, w tym zwłaszcza z represjami postyczniowymi” (s. 452). I znowu – sama powieść tego nie sugeruje. Gdyby na tym Orzeszkowej zależało, potrafiłaby takie sugestie przekazać mimo przeszkód cenzuralnych, czego dowodem jest jej inna, niedoceniona powieść – *Zygmunt Ławicz i jego koledzy* (1881).

Inny przykład: w opowiadaniu Świętochowskiego *W społecznym wnętrzu* (z cyklu *Dumania pesymisty*) narrator zwierza się z poczucia przepaści, jaka dzieli go od współbraci, przepaści nie mniejszej od tej, jaką odczuwałby wobec „najodleglejszego zoologicznego gatunku”. W interpretacji Płacheckiego

bohater relacji widzi siebie odrzuconego, czy z odrazą wyrzuconego – przez siebie samego – poza międzygatunkową barierę dzielącą człowieka od robactwa. Odrzucający, strącający z siebie istotę „najodleglejszego zoologicznie rodzaju” jest zarazem sobą, przejętym odrazą i ową strąconą istotą. (s. 497)

A przecież u Świętochowskiego nie ma ani robactwa (*notabene* najodleglejsze zoologicznie są raczej pierwotniaki niż robactwo), ani odrazy, ani strącenia, ani utożsamienia się ze strąconą istotą.

Markiewicz Antropologia pozytywizmu czy jego czarna legenda?

Przykład trzeci: według Płacheckiego w powieści *Młodzi i starzy* Bałucki dokonuje „przesunięcia semantycznego”, a mianowicie kondycję Żydów polskich „konsekwentnie” ujmując jako „czarny, najczarniejszy scenariusz polskiego losu na nieodległą przyszłość” (s. 405). Zobaczmy jak ta konsekwencja wygląda. Oto jeden z bohaterów, zasymilowany Żyd, upokorzony na balu przez jakiegoś arystokratę w słowach pełnych „mściwego jadu, szyderstwa i nienawiści, gryzących jak czosnek”³, oskarża Polaków, że mimo podobieństwa losu obu narodów, odpychają od siebie garnących się do nich Żydów, nie chcąc uważać ich za „ogniwo, o które zaczepić się potrzeba, by spoić łańcuch”⁴.

Jest chyba rzeczą bezsporną, że takie ujęcie relacji polsko-żydowskich wyklucza dopatrywanie się tu analogii do stosunków rosyjsko-polskich, bo przecież sytuacja obu narodów nie była podobna. Polacy do Rosjan się nie garnęli i nie narzekali na to, że ci ich odpychają. O stosunkach polsko-rosyjskich Bałucki, wydając swą powieść w Lipsku (a może w Krakowie), mógł napisać, co chciał, nie uciekając się do stosowania żydowskiego kostiumu.

Gdy chodzi o teksty publicystyczne – raz po raz postępuje Płachecki w sposób, który trudno nazwać inaczej jak hermeneutyką prokuratorską, by nie rzec insynuacyjną, na przykład Józef Szujski, głosząc ideę „rządu moralnego”, posłużył się metaforą falangi. Zdaniem Płacheckiego, była to „spartańska wizja państwa polskiego”, co „siłą rzeczy zakładała głęboką przepaść między nielicznymi Spartanami a masami poddanych im helotów, ludzi pracy, wyłączonych z podejmowanych decyzji rozstrzygających o ich losie” (s. 213). Płachecki ma tu o tyle rację, że ideę samowznacznego decydowania o losie narodu przez jego elitę można tu wyczytać, ale łączenie metafory falangi akurat z zasadami ustrojowymi Sparty jest już interpretacyjną dowolnością, bo przecież w szyku tym walczyli również Ateńczycy czy żołnierze Aleksandra Macedońskiego.

W roku 1869 Agenor Gołuchowski, przemawiając na obiedzie wydanym na jego cześć, zalecał powolną, wytrwałą walkę, gdyż „są rzeczy zrazu wydające się niepodobnymi, które z czasem jednak się urzeczywistniają”. Związek logiczny między zdaniem głównym, a zdaniem przyczynowym jest tu co prawda niejasny, w każdym jednak razie można zasadnie przypuszczać, że owe rzeczy „wydające się niepodobnymi” to odzyskanie niepodległości. Tymczasem, według Płacheckiego, przemówienie to ma być dowodem na to, iż zdaniem Gołuchowskiego polityka polska jest nią „pod warunkiem, że nikt nie będzie mógł żywić wątpliwości, iż jest polityką austro-węgierską” (s. 222). Dlaczego? Tylko dlatego, że owa patriotyczna feta na cześć Gołuchowskiego odbyła się w dzień imienin cesarza.

Franciszek Krupiński pisze, że „rozczarowania i zawody, na które obecnie patrzymy, są w znacznej części rezultatem romantycznej poezji”. Płachecki wie, że wcale Krupińskiemu nie chodziło o ocenę romantyzmu, lecz o „studzenie rozbełtanych powszechnie nadziei i rozczarowań [rozczarowań chyba Krupiński studzić

³ M. Bałucki, *Młodzi i starzy. Powieść z niedawnych lat*, t. 1, Lipsk 1866, s. 276.

⁴ Tamże, s. 280.

Roztrząsania i rozbiory

nie chciał] wystudzonym determinizmem, twardo wymuszającym akceptację *status quo*” (s. 476).

Gdy Świętochowski mgliście deklaruje: „my tylko całą chatę, oddając pod straż bogów domowych, chcemy [...], aby otworzyć podwoje temu wszystkiemu, co dobre, rozumne i piękne, skądkolwiek pochodzi”, Płachecki dostrzega w tym zdaniu topos Eneasza wnoszącego z płonącej Troi swego ojca, syna i penaty, ale topos zdeformowany i zdegradowany. Dlaczego? Bo zabrakło wzmianki o ojcu i synu, Troja nie płonie, nie trzeba więc nic z niej, a może i nie ma czego z niej wynosić. Dla Płacheckiego wynika stąd „jasno” lekceważenie dramatyzmu historii, obojętność wobec powinności przekazywania kultury z ojca na syna i poczucie braku wpływu na własne losy (s. 357). Aż tyle wyczytał nasz autor z jednego zdania z felietonu *Echa warszawskie*...

Kiedy Świętochowski drwi z ubolewania prasy warszawskiej z powodu „powszechnej obojętności do literatury”, Płachecki najpierw pedantycznie zwraca uwagę czytelnika na rusycyzm składniowy tu popełniony, potem informuje, nie wiadomo po co, że zdanie to zostało opublikowane „w niemal stulecie świetnego zwycięstwa generała Suworowa pod Lanckoroną, w bitwie, podczas której rozgromiono siły konfederacji barskiej, liczące blisko 1300 powstańców i 18 armat”, a wreszcie sufluje Świętochowskiemu takie oto zalecenie dla społeczeństwa: „Dość mazgajstwa, dość wspomnień. Nie traćcie czasu, bo skończy się jak w sześćdziesiątym czwartym. Pomyślcie o jutrze” (s. 363).

Jeszcze raz Świętochowski. Zdaniem Płacheckiego, wprowadzając w *Dumaniach pesymisty* fenomenalizm, konwencjonalizm, naturalizm, idiografizm, kantyizm, schopenhaueryzm itd., autor tylko to miał na celu, by „rozbroić i rozbijać kolejne flanki, które mogłyby w trudnej chwili dać oparcie wspólnotowej identyfikacji narodowej” (s. 467). Niech mi autor wybaczy, ale *passus* ten przypomina dowodzenia filozofów radzieckich sprzed pół wieku, że egzystencjalizm, fenomenologia, czy neopozytywizm miały na celu zatruć i obezwładnić świadomość klasy robotniczej.

Omawiana tu hermeneutyka prokuratorska zaciążyła nad charakterystyką i oceną nie tylko pracy organicznej, lecz całego pozytywizmu warszawskiego (w dalszym ciągu będę pomijał przydawkę „warszawski”, zwłaszcza że autor omawia głównie publicystykę tego ośrodka, o Galicji pisze mało, a Wielkopolskę zupełnie pomija, choć tu narodziła się nazwa „praca organiczna”). Rozważania swe zaczyna Płachecki od krytycznych uwag pod adresem mojej definicji pracy organicznej: „legalna działalność pomnażająca zasoby gospodarcze narodu, jego organizację wewnętrzną i poziom oświaty”. Zarzuca jej, że jest to „konstrukt oderwany od własnego otocza społecznego pracy organicznej i w rezultacie pasujący do niemal wszystkich kontekstów” (s. 193). Ale wprowadzając ten termin do swej książki, tak właśnie musiałem treści jego eksplikować, by mieściły się w różnych ramach programowych, w których się pojawiał. Sam Płachecki gdzie indziej przyznaje, że była to „figura myśli, która mogła i miała posłużyć jako zaczyn przedsięwzięć kontrastowo zróżnicowanych co do swego wydzwieku politycznego” (s. 182). Omawiając (oryginalnie i ciekawie!) typologię pracy organicznej, czyni to nie według róż-

Markiewicz Antropologia pozytywizmu czy jego czarna legenda?

nicowanych kontekstów i funkcji, jakie ona pełniła, lecz na zasadzie immanentnych cech, jakimi praca ta miałaby się odznaczać (praca duchowa czy wytwórcza, prace podmiotowe czy organizacyjne, praca planowana czy też prowadzona metodą prób i błędów itd.). W rezultacie do wspólnego worka wrzuca wypowiedzi Supełskiego, Kraszewskiego, Miniszewskiego, Wielogłowskiego, Popiela, Bełzy, Lisickiego i Orzeszkowej z lat 1861-1882. Nie spełnia więc zapowiedzi kontekstualnego i konsytuacyjnego traktowania pracy organicznej. Nie stroni też od opinii i ocen generalnych, zresztą niekonsekwentnych. Raz na przykład czytamy, że hasło to pozwalało zwolennikom adaptacji do narzuconych przez zaborcę warunków zachować uzasadnione poczucie patriotycznej uczciwości (parafrazując zagmatwane sformułowania ze strony 264), w szczególności dlatego, że funkcją tej pracy było „powstrzymywanie abrazyj” (s. 227), uobywatelnienie chłopca (s. 265), przeciwdziałanie minuityzacji uczestnictwa w kulturze narodowej (s. 159). Uzasadniało też egalitaryzm trudu i godności narodowej (s. 181). Jeden tylko Świętochowski stanowi tu godny potępienia wyjątek, ale o tym będzie jeszcze mowa.

Kiedy indziej jednak Płachecki orzeka zdecydowanie, że

najczęściej głównym, jeśli nie jedynym, bodźcem do rozwijania programu „pracy organicznej” było zagospodarowanie rodzącej się energii społecznej, energii sprzeciwu, zbierającej pośród młodych i niemających, aby tym sposobem, nie posuwając się do drastycznych opcji lojalistycznych, zapobiec spiskowaniu z myślą o kolejnej próbie powstającej. (s. 220)

Nasuwa się tu myśl, że jeśli tak było, to na przykład propaganda pracy organicznej w prasie warszawskiej 1866-1876 była wymierzona przeciw zagrożeniu wyimaginowanemu, bo nikt wtedy w Królestwie o spiskowaniu nie myślał.

Negatywna ocena pracy organicznej rzutuje oczywiście na koncepcję i ocenę pozytywizmu. Płachecki zajmuje się głównie „Przeglądem Tygodniowym”, a więc radykalnym skrzydłem pozytywizmu, niewiele uwagi poświęcając „Niwie”, „Opiekunowi Domowemu”, „Nowinom” czy „Ateneum”, i kiedy ogólnie charakteryzuje ten ruch, opiera się przede wszystkim na tym, co wyczytał w „Przeglądzie”. Finał pozytywizmu umieszcza w roku 1876 lub 1878. Jak wobec tego nazwać publicystykę „Prawdy” z lat 80., *Szkic programu* Prusa z roku 1883, wystąpienia Dygasińskiego, Orzeszkowej i Spasowicza z tego czasu – tego pytania sobie nie zadaje.

O tak wąsko skonstruowanym pozytywizmie znajdziemy w książce bodaj jedno tylko zdanie aprobatywne:

Ów projekt jakoś się sprawdził i w dziedzinie działania społecznego – myślę tu o rozmaitych przedsięwzięciach stowarzyszeniowych, o rozbudowanej akcji odczytowej – i w domenie życia ideowego, stając się punktem odbicia dla wszystkich późniejszych programów społecznych. (s. 309)

Zdanie to pozostaje zresztą w sprzeczności z powtarzaną wielokrotnie tezą, że nie było żadnych prawie szans na realizację programu pozytywistycznego. Wszystkie inne opinie są zdecydowanie nieprzychylnie, wręcz napastliwe:

Roztrząsania i rozbiory

Negatywnie oceniane atrybuty bądź reakcje czy zachowania przeciwnika nie tylko zostają wyolbrzymione ponad wszelką miarę i podlane sarkazmem, dając pochoch do rozwiniętego popisu retoryki abominacyjnej [...] Czytelnik staje się świadkiem językowego znęcania się, pastwienia doprawdy z prawdziwym polotem, nad powalonym przeciwnikiem. (s. 344)

Te słowa o Świętochowskim znakomicie przylegają do stylistyki własnej książki Płacheckiego.

W oczach autora *Wojen domowych* pozytywizm to „osobliwa hybryda nowoczesności i duszy słowiańskiej, prozachodniego dyfuzjonizmu – utopii przeszczepiania zachodniej technologii do protektoratu administrowanego z Petersburga – i scjentyzmu z utajonym wyperswadowanym panslawizmem, a nawet tylko [?] ze słowianofilstwem” (s. 378).

Płachecki twierdzi, że w warunkach ucisku zaborczego „jakakolwiek rzeczowa polemika w sprawach obchodzących ogół, pilnych, ważących na losach wspólnoty, nie da się w ogóle pomyśleć” (s. 371). „Organicystyczne majaczenia młodej inteligencji [...] żadnego realnego zastosowania w świecie porwanej, ucinkowej interakcji znaleźć nie mogły” (s. 440). Walka młodych ze starymi była przede wszystkim walką o rynek prasowy (s. 445). „Myślowa anemia” to jeszcze najogłędniejsze ujęcie stanów umysłów prezentowanego na łamach młodej prasy (s. 445). „Wezwania do szerzenia przez dwór oświaty pośród ludu trąca już nie tyle naiwnością, ile złą wiarą” (s. 150). „Zła wiara i robiona naiwność” (s. 308) cechuje również atak pozytywistów na szlachtę i kler, zgodny ze strategią władz zaborczych. Pozytywizm był bowiem zorientowany „lojalistycznie – by nie powiedzieć więcej” (s. 419). Scjentyzm był użyteczny nie sam w sobie, lecz dla dyskredytowania autorytetów, dlatego że „odmawiały porzucenia tradycji patriotycznych i w ich podtrzymywaniu widziały swą misję” (s. 367). Opcja polityczna pozytywistów była „cynicznie kunktatorska” (s. 484). Świętochowski rezygnuje z programu wychowania w duchu identyfikacji narodowej, jest mu obojętne, czy dzieci polskie jeszcze rozumieją, co się do nich mówi w „anachronicznym narzeczu” (s. 265). Odrzucając całkowicie tradycję narodową, wywołał on skutki rozległe i fatalne – „wyrwał nam spod nóg wspólną kładkę, po której stąpając, można było czuć się uczciwym Polakiem” (s. 265). Idea testowania granic wolności została pomyślana „jak najdalej od umacniania identyfikacji narodowej” (s. 348). W roku 1876 Świętochowski „stawał jasno i twardo na rasową tożsamość słowiańską – na Rosję zatem i bez żadnych warunków wstępnych” (s. 476). Itd., itp.

Płachecki przy tym wręcz „przebiera nogami”⁵, by upodobnić wyrwane z kontekstu sformułowania pozytywistów z ultraloyalistyczną broszurą Kazimierza Krzy-

⁵ Złośliwość ta powtarza wyrażenie użyte przez Płacheckiego w stosunku do Cieślakowskiego, Żabickiego i Detki jako interpretatorów *Marty* (s. 452). Niechże poczuje na własnej skórze, jak przyjemnie być w ten sposób potraktowanym. Gdzie indziej zarzuca on Żabickiemu „garnizonową stylistykę”. I kto to mówi? Autor tak jednych fraz, jak „płatanie się pieluch między nogami młodego człowieka” (s. 388),

Markiewicz Antropologia pozytywizmu czy jego czarna legenda?

wickiego *Polska i Rosja w roku 1872*, będącą rzekomo „kamieniem węgielnym jakkolwiek definiowanego pozytywizmu” (s. 484). Pisze wręcz, że „Świętochowski tryska na lamach «Przeglądu» pomysłami, jak by tu jeszcze rozpisać na tysiąc wierszy miesięcznie zalecenia z niedawnej broszury rozsądnego, trzeźwego i przewidującego mentora z Lipska” (s. 378).

W związku z tym, że Świętochowski ostrzegał przed niebezpieczeństwem kolonizacji niemieckiej w Królestwie – Płachecki wywodzi, iż w jego ówczesnym ujęciu praca organiczna „miała posłużyć jako rodzaj pokojowej czystki etnicznej” [1] (s. 249). Wytyka przy tym Świętochowskiemu, że w półtora roku później, mimo swego antygermanizmu, wyjechał na studia do niemieckiego Lipska. Trudno to nazwać inaczej, jak demagogicznym czepialstwem.

Jak widać, w tej czarnej legendzie pozytywizmu pierwszoplanowym czarnym charakterem, rzekłbyś *bête noire*, jest Świętochowski. Autor, pisząc o nim raz po raz, nie może się powstrzymać przed ironicznymi czy pogardliwymi epitetami i peryfrazami. Czytamy na przykład, że był to „młody psychiatra załogi «Przeglądu Tygodniowego»” (s. 327), „początkujący ginekolog” z tego pisma (s. 328), „człowiek o głęboko zaburzonym kontakcie z rzeczywistością” (s. 371). „Trzeba być doprawdy ślepy, głuchoniemy, cierpiącym na autyzm” (s. 371) – powiada Płachecki – by, jak Świętochowski, sądzić, że w warunkach ucisku cenzuralnego możliwa jest jakakolwiek rzeczowa polemika o ważnych dla narodu sprawach.

Wygląda na to, że z niewiadomych powodów w 70 lat po śmierci Świętochowskiego Płachecki traktuje go jak swego osobistego nieprzyjaciela. Ale zostawmy na razie tę animozję na boku. Co sądzić o zreferowanych tu poglądach Płacheckiego na pozytywizm? Według mojej wiedzy są to albo sądy ewidentnie fałszywe, albo bezdowodowe insynuacje, albo nieuprawnione generalizacje. Żeby to wykazać w odniesieniu do wszystkich punktów oskarżenia, trzeba by obszernej rozprawy. Na jej przeczytanie nie starczyłoby prawdopodobnie czytelnikom cierpliwości, a i mnie szkoda czasu na prostowanie tak nieodpowiedzialnych opinii, jak przytoczone tu zdanie o stosunku programu pozytywistycznego do broszury Krzywickiego. Byłoby zajęciem wręcz żenującym przypominanie w tym miejscu zignorowanych przez Płacheckiego zasług pozytywizmu dla szerzenia zasad demokratycznych, tolerancji, racjonalnego myślenia. Ograniczę się przeto do czterech tylko tematów. Chodzi o stosunek pozytywizmu: 1. do szlachty i duchowieństwa; 2. do spraw oświatowych; 3. do tradycji narodowej; 4. do panslawizmu.

Ad 1. Płachecki twierdzi, że pozytywiści prowadzili frontalny atak przeciwko szlachcie i klerowi, zbliżony do prześladowań tych warstw ze strony zaborczej. Tymczasem krytykując „absenteizm”, egoizm czy przesady stanowe szlachty, zastrzegali się – z przesadnym bodaj optymizmem – że są to tylko „nieliczne czarne punkta na jasnym tle naszego obywatelstwa”, a ci, którzy „kochają lud i pragnęli-

czy „kulenie ogona w pokorze przed panem” (s. 486). (Żeby nie było nieporozumień: osobiście nie mam najmniejszych pretensji do stylu, w jakim Płachecki z moimi poglądami polemizuje).

Roztrząsania i rozbiory

by się z nim zespolić, ale nie znają dróg i środków [...] prędej czy później dorosną do wysokości i potrzeb czasu” (L. Mikulski i A. Świętochowski *Praca u podstaw. I. Ogólne jej pojęcie*, „Przegląd Tygodniowy” 1873 nr 10). Jeśli chodzi o duchowieństwo, to potępiając fanatyzm religijny, dewocję, nietolerancję, twierdzili, że duchowieństwo może najskuteczniej wpływać na właściwe kształcenie charakteru, nauka kościelna bowiem jest „potężną dźwignią moralną, jeżeli tylko umiejętnie używaną bywa” (A. Świętochowski *Nowe drogi*, 1874, PP, s. 55)⁶.

Ad 2. Wbrew temu, co utrzymuje Płachecki, pozytywiści trzeźwo oceniali sytuację: zdawali sobie sprawę, że ustawa z roku 1864 o wychowaniu początkowym umniejsza możliwości oddziaływania „obywatelstwa” w tym zakresie, ogranicza je do roli „doradczej i ułatwiającej”. Niemniej jednak – sądzili – wpływ ten może być jeszcze „dość znaczny”, i wymieniali tu konkretne jego sposoby – popieranie materialne, sprawowanie funkcji nadzorców szkolnych, niedzielne korepetycje dla dzieci chłopskich, zakup pomocy szkolnych i bibliotek (L. Mikulski, A. Świętochowski *Praca u podstaw IV. Jeszcze szkółki wiejskie*, „Przegląd Tygodniowy” 1873 nr 14).

Twierdzi dalej Płachecki, że Świętochowski całkowicie rezygnuje z programu wychowania w duchu identyfikacji narodowej, zaleca nauczanie dzieci miejskich tylko zawodów technicznych, a dzieci wiejskich tylko umiejętności czytania i pisanania, nie troszcząc się o to, czy jedne i drugie będą w ogóle znały polszczyznę. A czego domagali się pozytywiści w rzeczywistości? Podstawą wychowania na każdym szczeblu powinno być „poszanowanie interesów społecznych”. Obywatelskość „w piersiach milionów tkwi jako szlachetny i głęboki patriotyzm, ale nie ma siły zdobyć się na równie szlachetne czyny”. Dzięki takiemu wychowaniu staje się do nich zdolna (A. Świętochowski *Nowe drogi*, PP, s. 45).

W programie pedagogicznym należy, co prawda, dać przewagę tym naukom, które „w życiu praktycznym młodzieży większe zastosowanie mieć mogą”, ale właśnie dlatego należy „uczyć dzieci dokładnej znajomości swego języka, dziejów, piśmiennictwa, społecznych potrzeb – słowem – całego przeszłego i obecnego ustroju”. Postulat ten powtarza Świętochowski „ze szczególnym naciskiem, dlatego [...], że u nas wymaga on większej niż gdziekolwiek bądź uwagi” (tamże, PP, s. 70-71). Jest to zadanie domu – musi on wziąć na siebie obowiązek wpajania młodzieży „tych zasad, które są najdroższe, a których w szkole posłyszeć nie może, które sprawiają, że jednostka będzie się czuła odrębną od obcych żywiołów, nie zapominając o obowiązkach wobec najbliższego otoczenia” (P. Chmielowski *Dom i szkoła*, „Opiekun Domowy” 1872 nr 21). Czytelnicy tych artykułów domyślali się, co kryje się poza cenzuralnymi peryfrazami „zasady, których młodzież w szkole posłyszeć nie może”, co to „odrębność od obcych żywiołów”. Powinien tego się domyśleć także współczesny badacz.

Szczególną uwagę zwraca Chmielowski na naukę języka ojczystego. Jest on „nieocenioną spuścizną po przodkach, spuścizną, której strzec powinniśmy z całą

⁶ Skróc PP odsyła do pracy: *Pedagogika pozytywizmu warszawskiego*, oprac. i wstęp R. Wroczyński, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1958.

Markiewicz Antropologia pozytywizmu czy jego czarna legenda?

serdecznością dziecka chowającego święte pamiątki po zmarłych rodzicach. Dokładna znajomość tego języka jest nieodzowną, jak chleb codzienny” (*Co wychowanie z dziecka zrobić może i powinno*, 1874, PP, s. 138).

Ad 3. Zdaniem Płacheckiego – powtórzmy – pozytywizm przekreślił całkowicie tradycję narodową, co wywołało skutki fatalne dla stanu identyfikacji narodowej. Badacz powołać się tu mógł tylko na sławny artykuł *Tradycja i historia wobec postępu* („Przegląd Tygodniowy” 1872 nr 17), gdzie Świętochowski istotnie twierdził, że „żadnych [...] ideałów, wzorców, zasad, przeszłość nam nie daje”. W swym radykalizmie nie był jednak konsekwentny; w tym samym artykule pisał przecież: „Każda [...] nowa myśl, każde nowe uczucie, są to nowe formy wydobyte z tych strun, które ciągle się rozrastają. Zerwać ich niepodobna – przedłużać je należy”.

Świętochowskiemu od razu replikował w „Opiekunie Domowym” (1872, nr 18) Julian Ochorowicz, w imieniu „umiarkowanej partii postępowej” dowodząc, że przodują te społeczeństwa, w których „postęp szedł z wolną, ręka w rękę z tradycją”. Sam zresztą Świętochowski z czasem wystąpił z autokorektą: „Postępowy element naszego społeczeństwa – pisał – ochłonawszy z pierwszego uniesienia, rzucił okiem poza siebie, i stara się tam „dopatrzyć”, wysledzić i spoić cały swój rodowód” (*Za swojskim szlakiem. I. „Lotniki”*, „Przegląd Tygodniowy” 1875 nr 22). W pierwszym numerze „Prawdy” z roku 1879 głosił: „Podczas gdy na sztandarach większości prasy błyszczy znak tradycji wstecznej, my na swoim wypisaliśmy godło postępowej”. W artykule wstępnym *Do naszych czytelników* („Przegląd Tygodniowy” 1876 nr 27) pisał, że dążenie do postępu nie wyklucza czci „dla tego, co zacne i święte otrzymaliśmy w puściźnie po przodkach”.

Tym wypowiedziom uogólniającym towarzyszyły w prasie pozytywistycznej częste nawiązania do tradycji romantyzmu. Świętochowski budował nawet bezpośrednią analogię między wystąpieniem pozytywistów a przełomem romantycznym: „Nie porównujemy się do świetnej falangi, którą prowadził wielki Adam – zastrzegaliśmy się do świetnej falangi, którą prowadził wielki Adam – zastrzegaliśmy się skromnie – ale mamy z tą armią postępowość wspólną, wymierzoną przeciw zacofaniu i przesądowi” (*Na wylomie*, „Przegląd Tygodniowy” 1871 nr 50).

Chmielowski w artykule *Czytanie arcydzieł* („Opiekun Domowy” 1873 nr 51), zalecał przede wszystkim lekturę Mickiewicza i innych poetów romantycznych (w tym także Zaleskiego i Pola), a gdzie indziej twierdził nawet, że przyklasnąć można arcyromantycznemu hasłu „Mierz siły na zamiary” (*Wybór zawodu*, „Opiekun Domowy” 1873 nr 33). Józef Kotarbiński (*W obronie Zygmunta i Juliusza*, „Przegląd Tygodniowy” 1874 nr 38) uważał Krasieńskiego za „jednego z najpotężniejszych przedstawicieli ducha narodowego” i przewagę „żywołu narodowego” uznał za największe osiągnięcie polskiej poezji pierwszej połowy XIX wieku (*W sprawie romantyzmu*, „Przegląd Tygodniowy” 1876 nr 25-29).

Jednocześnie pozytywiści nawiązywali do tradycji polskiego Oświecenia; chętnie powoływano się zwłaszcza na Jana Śniadeckiego. W roku 1874 „Niwa” ogłosiła konkurs na rozprawę *Zmiana pojęć i ustroju społeczeństwa polskiego w XVIII wieku*, tłumacząc tę inicjatywę „pewną analogią między tzw. «wiekiem Oświecenia» a pra-

Roztrząsania i rozbiory

dami duchowo-społecznymi połowy naszego stulecia”. Analogię tę ukazywał również Chmielowski w *Zarysie literatury polskiej z ostatnich lat szesnastu* (1881)⁷.

Pozytywiści przy tym, atakując fałszywe powagi warszawskiego środowiska literackiego w rodzaju Wacława Szymanowskiego i Fryderyka Lewestama czy krytykując mierne utwory wybitnych seniorów literatury, jak Pol i Kraszewski, okazywali szacunek dla wielu przedstawicieli starszego pokolenia, nieraz mających odległe od pozytywizmu przekonania. Świętochowski (*Na wyłomie*) wymieniał tu obok Kraszewskiego (co nie dziwi), m.in. Żmichowską, Bielowskiego, Libelta, Małeckiego, Tyszyńskiego. Nietrafne jest więc uogólnienie Płacheckiego, że „wedle „Przeglądu” zerwanie więzi pokoleniowej było dla pozytywistów czymś naturalnym i właściwym” (s. 259)⁸.

Ad 4. W stosunku do zwolenników pracy organicznej i pozytywizmu Płachecki czasem wymiennie używa określeń „legalizm” i „lojalizm” (s. 241, 245), preferuje jednak drugi z tych terminów. Skrajnym lojalistą jest dla niego oczywiście Świętochowski (s. 374), a lojalista to „niemal funkcjonariusz aparatu władzy” (s. 163), działający gorliwie w jej interesach.

Otóż jeśli pozytywiści byli (do czasu) zdecydowanymi zwolennikami legalizmu, to w moim poczuciu językowym nie należy im przypisywać lojalizmu: zalecając działania w granicach prawa, mieli na myśli tylko takie działania, które w ich przekonaniu służyły interesom polskim, a nie celom politycznym zaborcy. „Narody, znajdujące się na drodze rozwoju pełnego i swobodnego, inne mają na warsztacie działy pracy, aniżeli te, których rozwój z przeszkodami łamać się musi, którymi narzędzia konfiskowano, swobodę ruchów ścieśniano, pęta włożono” – pisał Ochorowicz (*Praca organiczna*, „Niwa” 1873 nr 42). W następnym zdaniu autor asekuruje się przed cenzurą: „W takim położeniu znajdują się narody pod tureckim i niemieckim panowaniem”, ale że miał na myśli przede wszystkim panowanie rosyjskie, to było jasne. Czy tak pisze lojalista?

Z kwestią tą wiąże się pogląd Płacheckiego, że pozytywizm łączył scjentyzm – powtarzam cytaty – z utajonym, urazowym, wyperswadowanym panslawizmem (s. 378). Sformułowanie to nie jest jasne: jeśli panslawizm ów był utajony, trzeba go wykryć, czego Płachecki nie robi. Jeśli chodzi o uraz, to nie wiem, czy trafnie się domyślam, że chodzi o uraz klęski powstania: „wyperswadowany” to dla mnie tutaj określenie zagadkowe; „wyperswadować” znaczy „perswazją odwieść od czegoś”, a więc spowodować, by ktoś odrzucił swój dotychczasowy pogląd. Chyba jednak nie to miał Płachecki na myśli.

Przyznać trzeba, że rzeczywiście panslawizm dochodził do głosu w „Przeglądzie Tygodniowym” w latach wojny rosyjsko-tureckiej, głównie za sprawą Adama

⁷ Obszerniej omawiam stosunek pozytywistów do romantyzmu i oświecenia w książce *Dialogi z tradycją. Rozprawy i szkice historycznoliterackie*, Universitas, Kraków 2007.

⁸ Że konserwatywni pisarze atakowani przez pozytywistów godzili kult wybranych wątków kultury narodowej z ugodowością wobec zaborcy – o tym Płachecki nigdzie nie wspomina.

Markiewicz Antropologia pozytywizmu czy jego czarna legenda?

Wiślickiego. Czy jednak zarzut ten można postawić Świętochowskiemu? Według Płacheckiego – tak: w odpowiedzi na zew wojny nie wystarczyło „skulić ogon i drzeć w pokorze na głos pana, trzeba było wyraźnie się określić, Świętochowski stawiał jasno i twardo na rasową tożsamość słowiańską, na Rosję zatem, bez żadnych warunków wstępnych” (s. 476). Świętochowski więc to nie tylko panslawista, ale wręcz serwilista.

Czyżby? W artykule jego *Nasze drogi polityczne* („Przegląd Tygodniowy” 1876 nr 27) deklaracją sympatii dla walczących o niepodległość narodów południowej Słowiańszczyzny towarzyszą zawile sformułowania, które różnie można interpretować: „mądre solidaryzowanie się z potęgą posiadającą szansę trwałości i przewagi”, „błogosławimy temu zmartwychwstaniu [na południowym skrzydle Słowiańszczyzny] wszystkimi uczuciami serca, bo ono okupuje wielką sprawą cywilizacji przez narodowe wyzwolenie i sprawę plemienia, którego szczęściem, mocą i swobodą żyć jedynie możemy”. Gdzie indziej jednak pisał w związku z poparciem Rosji dla ruchów powstańczych na Bałkanach:

Gdyby Indianie amerykańscy, zgnębieni przez Hiszpanów, rzucili się byli do broni przeciw swym władcom i nie mieli na całym globie ziemskim innego przymierza oprócz gromady hien, pożerających ciała nieprzyjaciół, każdy uczciwy człowiek byłby również ich sprzymierzeńcem. (*Wyściąg politycznej prawomyslności*, „Przegląd Tygodniowy” 1876 nr 33)

Aż dziwi, że cenzura przepuściła to zdanie, w którym najwyraźniej wojska rosyjskie przyrównane zostały do gromady hien.

W sposób jednoznaczny i rozwinięty przedstawia Świętochowski swój stosunek do panslawizmu w artykule *Pangermanizm i pansłowianizm* („Przegląd Tygodniowy” 1876 nr 31). Charakteryzując pangermanizm jako „wyraz politycznego dążenia na drodze przemocy”, „przymusu ze strony silniejszego wywartego na słabym”, zapewne *mutato nomine* oceniał w ten sposób także panslawizm. Ale o nim napisał także wprost – że kiedyś był czystą ideą, stał się jednak „doktryną wyzyskania jednych na korzyść drugich”. Toteż – kontynuował – „współczesne stosunki polityczne uniemożliwiają spełnienie się tej idei w znaczeniu dodatnim, jako dobrowolnego zespolenia się ludów jednego plemienia”. Dopiero wtedy, „kiedy cała Słowiańszczyzna, bez wyjątku, będzie wolna – panslawizm stanie się zasadą rozumną”, na razie „wspólnego działania w takich warunkach być nie może”; idea panslawizmu powinna „przemienić się w postacię panserbizmu, panczechizmu i tak dalej”. Nietrudno się domyśleć, że za tym „i tak dalej” kryje się „panpolonizm”. Gdzie indziej pisał Świętochowski, że panslawizm jest „niezgodny z naturą ludzką i jako nielogiczność wart jest potępienia” (*Echa warszawskie*, „Przegląd Tygodniowy” 1877 nr 13).

W artykule *Partykularyzm* („Przegląd Tygodniowy” 1876 nr 36) dopowiadał, że współcześnie równoległe do więzi międzynarodowych wzmaga się idea narodowa. Idea ta jest siłą dodatnią, jeśli pobudza aktywność ekonomiczną i społeczną narodu, „jeśli jednoczy się z zagadką bytu lub niebytu społeczeństwa zagrożonego chucią pożerczej asymilacji”. Zasługuje natomiast na potępienie, jeśli

Roztrząsania i rozbiory

urasta do rozmiarów „pożerczej chuci rasowej”. Dla Polaków jest „ważnym, naczelnym dogmatem narodowym, który „w dzisiejszych warunkach” może być urzeczywistniony „na drodze legalnej, organicznej pracy”. Gdy Orzeszkowa ogłosiła rozprawę *Patriotyzm i kosmopolityzm*, Świętochowski recenzował ją z entuzjazmem i niemal całkowicie się z jej poglądami solidaryzował. Czy można więc nazwać Świętochowskiego panslawistą, czy zasługuje na te obraźliwe epitety, którymi obrzuca go Płachecki?⁹

Gdyby autorem zreferowanych tu opinii o panslawizmie Świętochowskiego, a także wielu innych kategorycznych sądów zawartych w książce *Wojny domowe* nie był Płachecki, powiedziałbym, że to ignorancja. Ale co powiedzieć, jeśli jest nim erudyta Płachecki? Odpowiedzi może być wiele; wybieram spośród nich najogledniejszą: autor jest nielojalny wobec bohaterów swej narracji.

Na okładce jego dzieła czytam jednak taką opinię Krzysztofa Stępnika: „Powstała praca o wybitnych walorach naukowych, znakomita pod względem metodologicznym i osiągniętych wyników merytorycznych”. A Danuta Ulicka (*Wojny domowe, czyli prawdziwy koniec Królestwa Polskiego*, „Nowe Książki” 2010 nr 4) nie ma wątpliwości: „Płachecki stara się oddać sprawiedliwość wszystkim uczestnikom słownego życia publicznego”.

„Praca znakomita pod względem metodologicznym”? „Autor stara się wszystkim oddać sprawiedliwość”? No cóż, chyba czytaliśmy nie tę samą książkę.

Henryk MARKIEWICZ

⁹ Pomijam tu, ze względów chronologicznych, omówienie *Wskazań politycznych* (1882). Przypomnę jednak, że odżegnanie się od walk niepodległościowych nazwał tu Świętochowski „przerażającym wyrokiem losu”, zaznaczając, iż są to tylko wskazania „dzisiejszej doby” i to wymagające dopełnienia ze strony „domyślności uważnego czytelnika”.

Markiewicz Antropologia pozytywizmu czy jego czarna legenda?

Abstract

Henryk MARKIEWICZ
Jagiellonian University (Kraków)

An Anthropology or a Black Legend of Positivism?

Review: Marian Płachecki, *Wojny domowe. Szkice z antropologii słowa publicznego w dobie zaborów (1800–1880)* [‘Civil Wars. Essays on Anthropology of Public Speech in the Era of Partition, 1800–1880’], Wydawnictwo Instytutu Filozofii i Socjologii PAN [Institute of Philosophy & Sociology, Polish Academy of Sciences], Warszawa 2009.

In his comprehensive article, Professor Henryk Markiewicz, the outstanding expert in Polish Positivism, speaks critically and polemically of the book under review. Whereas he respects the book’s volume and scholarly instrumentarium, as well as interpretative originality with respect to certain works and proposed model of pursuing a new discipline – i.e. the anthropology of public speech, he remains at odds with most of the remaining theses proposed by Mr. Płachecki. He rejects the proposed severe criticism of by-far descriptions of Positivism in the history of Polish literature, as well as a damning description of the writings and attitudes of many a Positivist author – particularly, Aleksander Świętochowski. He is also of opinion that the attemptedly-unbiased Positivist criticism of the nobility and the clergy and the partitioning states’ oppressive attitudes toward these estates are in fact beyond compare. Mr. Markiewicz also disagrees with the statement that Positivists completely abandoned any action to uphold Polish national awareness in the education system and social-oriented journalism, for their legalist strategy is not to be confused with a loyalism toward the authorities. Also the group’s accusations of Pan-Slavism as an ideology favouring the Russian domination are found groundless, beside a few rather ambiguous exceptions.